

ANDRZEJ SULIKOWSKI  
Lublin–Szczecin

### DWA WIERSZE KS. JANA TWARDOWSKIEGO

*Pan Jezus niewierzących*

Pan Jezus niewierzących  
chodzi między nami  
trochę znany z Cepelii  
trochę ze słyszenia  
przemilczany solidnie  
w porannej gazecie  
bezpartyjny  
bezbronny  
przedyskutowany  
omijany jak  
stary cmentarz choleryczny  
z konieczności szary  
więc zupełnie czysty

Pan Jezus niewierzących  
chodzi między nami  
czasami się zatrzyma  
stoi jak krzyż twardy

wierzących niewierzących  
wszystkich nas połączy  
ból niezasłużony  
co zbliża do prawdy

Z tomu *Niebieskie okulary* 1970,  
cyt. za NPPN<sup>1</sup>, s. 286.

Imię Zbawiciela, często używane nawet potocznie, brzmi „Pan Jezus”, czyli oznacza w sobie dwa odrębne zjawiska. Człon pierwszy wskazuje na Tego,

---

<sup>1</sup> Korzystam z wydania drugiego: J. T w a r d o w s k i, *Nie przyszedłem pana nawracać. Wiersze 1945-1985*, Wydawnictwo Archidiecezji Warszawskiej, Warszawa 1989, ss. 392.

Który Jest Królem, który „pan-uje”, ma ukryty i nieobalalny Majestat Boski; przyjęło się nazywać tak szczególnie Zmartwychwstałego. Jezus to spolszczone, popularne imię hebrajskie „Jeszua”, Jahwe zbawia, oznaczające Syna Bożego w dzieciństwie oraz w dojrzałości – słowem, w bytowaniu człowieczym. Imię Jezus pochodzi wprost od posłańca Bożego, archanioła Gabriela, choć już wcześniej znane było u Żydów, podobnie jak „Miriam”, czyli po polsku „Maryja”.

W ujęciu poetyckim widoczne jest przede wszystkim to, że Jezus „chodzi między nami” w sposób wprawdzie niewidoczny, ale doświadczany – przez modlącego się – niemal na każdym kroku. Faktycznie, tak właśnie przeżywa Twardowski wewnętrzne obcowanie z Bogiem. Przecież przy pożegnaniu z apostołami Jezus powiada: jeszcze przed męką – „[...] miejcie odwagę: Jam zwyciężył świat” (J 16, 33); po zmartwychwstaniu – „A oto Ja jestem z wami przez wszystkie dni, aż do skończenia świata” (Mt 28, 20). Modlitwa okazuje się najskuteczniejszym i najsluszniejszym sposobem odkrywania obecności Boga.

Co zatem społeczeństwo nasze wie o Panu Jezusie? Niewiele, zdaje się sądzić podmiot liryczny. Kiedyś chodziliśmy na lekcje religii, przysłuchujemy się też mszalnym czytaniom ewangelicznym, więc Chrystus znany jest „trochę ze słyszenia”. W Polsce Ludowej upowszechniano sztukę wiejską poprzez tzw. Cepelię, centralę zajmującą się skupowaniem rękodzieła od rzemieślników i sprzedają dzieł sztuki ludowej – przede wszystkim w miastach, dla turystów i miłośników folkloru. Wówczas świątek, Chrystus Frasośliwy albo Chrystus Ukrzyżowany, stanowił tylko przedmiot estetyczny, także przedmiot handlu.

Kto by przy tym myślał, że jest to *res sacra* (rzecz święta), ponieważ przedstawia postać Zbawiciela? Bywali rzeźbiarze ludowi bardzo pobożni, z pietyzmem strugający z drewna kapliczki przydrożne, figury do ołtarza kościelnego albo malujący – po spowiedzi, na czczo – stacje Drogi Krzyżowej. Ale tylko dzieło sztuki umieszczone w kościele, poświęcone przez księdza, zyskiwało piętno sakralności.

Trzeba też sobie przypominać, że w okresie peerelu, gdy istniała cenzura wszelkich druków, nawet znaczków pocztowych i klepsydr żałobnych, imię Jezusa usuwano, gdzie to tylko było możliwe. Wedle ideologii komunistycznej, a więc programowego bezbożnictwa, usuwać trzeba było chrześcijaństwo przede wszystkim z druków najpopularniejszych, tj. z prasy wysoko nakładowej. Stąd określenie Twardowskiego: „przemilczany solidnie / w porannej gazecie”. W żadnym dzienniku świeckim imię Pana Jezusa nie powinno było się zjawiać; dbał o to gorliwy urzędnik z nożyczkami, etatowy „zabójca słowa” (jak rzecz określał George Orwell, a powtarzał za nim Stanisław Barańczak).

Chodziło w istocie o to, by całkowicie wykorzenić chrześcijaństwo z życia społecznego, ograniczać maksymalnie Kościół, jego dobry, wychowawczy wpływ na ludzi. Przecież żadna instytucja znana historii nowożytnej nie potrafi wykazać się tak wspaniałym dorobkiem pedagogicznym. W zasadniczym swym działaniu Kościół Chrystusowy – przez dwa tysiąclecia – uczył budowania życia rodzinnego i społecznego na wzór dany przez Pana Jezusa, przez Najświętszą Rodzinę. Prawozorem wszelkiej jedności jest Trójca Święta: Ojciec – Syn – Duch.

Nie przypadkiem Osobie Jezusa towarzyszy przydawka „bezpartyjny” (czujemy zarazem, że epitet brzmi żartobliwie przez zastosowanie go do Syna Bożego). Chrystus, jak wiemy z Ewangelii, stoi ponad wszelkimi organizacjami ludzkimi, ponieważ przyszedł zbawić wszystkich ludzi. Stoi nawet ponad chrześcijańską demokracją, ponad chrześcijańskim ruchem ludowym. Dobrze robią ci politycy, którzy chcieliby słuchać nauki Jezusa, niemniej Ewangelia nie pozwala się użyć do żadnych partykularnych celów świeckich.

Pan Jezus pragnie wskazywać drogę najpewniejszą, tzn. ludzką, biegnącą od człowieka do człowieka. Chce naszego wzajemnego porozumienia, serdeczności, lecz do polityki Chrystus zachowuje stosunek powściągliwy. Wielu bowiem możliwych pragnie rządzić i panować ponad innymi, gdy tymczasem Syn Boży przyszedł, aby służyć wszystkim, szczególnie najuboższym, potrzebującym. Wielu polityków pragnie dobra wspólnego, ale jak często zdarzają się ci, i chyba nawet przeważają, którzy poprzez politykę osiągają wyłącznie dobra osobiste i to niższego rzędu, czyli materialne, przemijające.

Chrystus zostaje nazwany „bezbronnym”, co zgodne całkowicie z Ewangelią. Orężem Pańskim był tylko niegroźny w istocie sznur, bicz z powrozów, którym wypędzał ze świątyni kupczących Żydów, bankierów i zwierzynę ofiarną, woły, owce, gołębie (por. J 2, 13-15). Tutaj działał w oburzeniu prawdziwie boskim, broniąc godności miejsca zamieszkanego przez Jahwe – najświętszego dla mozaizmu. Innego rodzaju broni nigdy poza tym nie użył; nie spuścił na niegościnne miasta ognia, nie przywołał na pomoc hufców anielskich, gdy miał być pojmany w Ogrójcu, choć wiadomo z Apokalipsy Janowej, że istnieją przed tronem Boga aniołowie zagłady, mogący zniszczyć łatwo nawet trzecią część Ziemi i Nieba.

W naszych gadatliwych czasach Pan Jezus został również „przedyskutowany”, czyli – nie przypadkiem tu forma bierna – stał się przedmiotem rozważań albo na lekcji religii, albo na wieczorowej szkole marksizmu-leninizmu. W pierwszym wypadku chodzi o to, by bliżej poznać Tego, którego mamy kochać w modlitwie i naśladować w życiu; jest to droga prawdy i miłości. W drugim przypadku intencja nauczających była od razu bezbożna, zaprzeczano i nauce

ewangelicznej, i podważano nawet historyczność samego Chrystusa; to droga kłamstwa i posiew niewiary.

„Przedyskutowany” znaczący więc, wedle schematu konferencyjnego: temat został przedstawiony, omówiony, podsumowany, możemy zatem odfajkować punkt w porządku dziennym. A więc imiesłów zastosowany został przez poetę ironicznie. Najlepszy teolog, nawet św. Tomasz z Akwinu, nie mógł przypuszczać, że cokolwiek „przedyskutował” ze spraw Bożych. Dokonał wiele w zakresie myślenia teologicznego, lecz w objawieniu pod koniec życia zrozumiał, że nasze słowa wobec Boga Żywego są tylko „słomą”.

Nasi najstarsi nauczyciele albo pradziadkowie jeszcze pamiętają z tradycji domowej wspomnienia zarazy cholerycznej, która w XIX w. parokrotnie pustoszyła biedne wsie Pogórza Karpackiego, nędznej Galicji, nieurodzajnych Beskidów. Cholera dziesiątkowała wsie, zamieszkane przez ludzi niedożywionych, mało odpornych. Przenoszona była wzdłuż dróg kupieckich i pasterskich, atakowała nagle, niszcząc na równi przysiółki góralskie, rusińskie wsie, żydowskie miasteczka Małopolski.

Dziś nie pamiętamy już o cmentarzach cholerycznych, które w minionym stuleciu były zawsze kopane w pośpiechu, poza obszarem zabudowanym, jako groby zbiorowe, do których wrzucano zwłoki, przesypując je wapnem. Umieszczano tam przeważnie tylko jeden wysoki, drewniany krzyż. Kto przeżył, omijał z daleka „miejsce zapowietrzane”. Rzadko zapalano tam świece, bo przeważnie wymierały całe rodziny i nie miał kto pamiętać o zbiorowej mogile. Dlatego powiada poeta: „z konieczności szary / więc zupełnie czysty”. Szary, czyli niczym nie ozdobiony, nie oświetlony świecami tak, jak nasze groby rodzinne w okresie świąt zadusznych. Kto przestaje na grobach stawiać światełko, ten przeważnie wąpi również o nieśmiertelności duszy.

A jednak cmentarz choleryczny jest zarazem określony epitetem „czysty”. Czyżby szary kolor miał mieć tę cechę? Zdarza się, co prawda, barwa szara skały albo wody, barwa o przedziwnej czystości, ale rzadko, bo trzeba na to osobliwego oświetlenia słonecznego, odpowiedniej pory dnia, raczej bezwietrzności, a więc wielu czynników jednocześnie, o które nie tak łatwo. Chodzi tu raczej o „czystość” religijną, polegającą na tym, że o ludziach zmarłych nagle, śmiercią gwałtowną, Chrystus pamięta równie troskliwie jak o tych, o których i my pamiętamy. Zbawcza pamięć Jezusowa nie czyni różnicy pomiędzy ludźmi, a miłość wieczna przydzielana jest przez Boga wedle Jego nieomylnej miary. Przecież wiemy, że Jezus zna dogłębnie każde ludzkie serce.

W wierszu zastosowano powtórzenie – „Pan Jezus niewierzących / chodzi między nami” – w celu tym dobitniejszego podkreślenia, że On działa pomiędzy wszystkimi, jako, dodać by można, Dobry Pasterz, który dba szczególnie o zagubione owce. Także o owce krnąbrne, samowolne, za jakie nierzadko

uchodzimy w oczach ludzi wierzących, ale nie w oczach Pana. Dla Boga niewierzący pozostają tylko owcami zbłąkanymi, wybierającymi gorsze życie. Bo z dala od Boga żywego błędzą ciernistymi drózkami, często na zupełnej pustyni i bezdrożach, daleko od stada, czyli Kościoła Powszechnego.

Kiedy się „zatrzymuje” Pan Jezus niewierzących? Wówczas z pewnością, gdy ktoś chce powrócić do Boga, jak kobieta w Samarii, czerpiąca w samo południe wodę ze studni Jakubowej (por. J 4, 4-26). Albo wtedy, w tłumie napierającym ze wszystkich stron, gdy kobieta cierpiąca na hemofilię od wielu lat dotyka się z ufnością szaty Jezusowej i natychmiast zostaje uzdrowiona (por. Mk 5, 25-34; Łk 8, 43-48). Nawet Bóg zdumiewa się wiarą ludzi, często pochodzących spoza Izraela: wiarą celników, nierządnic, poborców podatkowych, oficerów wojska rzymskiego.

Trzeba jeszcze uważnie przeczytać zdanie „stoi jak krzyż twardy”. Wiemy dobrze, że nawet drewniany słup, na którym zawisł Zbawiciel, wyciosany został z drewna trwałego: może dębu, może oliwki. Musiał być zatem twardy w sensie materialnym. Tu chodzi zapewne o znaczenie wtórne epitetu, znaczenie teologiczne.

„Twardy” w sensie moralnym, czyli bezbłędnie wyznaczający nam granice dobra i zła. W świetle krzyża wiemy jasno, co jest prawdą, co kłamstwem; co jest dobrem, a co złem. Nawet rzeczy tak trudne jak piękno dzieła sztuki możemy rozważać wedle zasad Krzyża Jezusowego.

„Twardy” w sensie historiozoficznym, czyli wskazujący na to, że nie można z dziejów ludzkości – czyli dziejów zbawienia – usunąć krzyża ani go przeoczyć. Kto bowiem podnosi rękę na krzyż, zaznaje w życiu swoim „twardości”, szczególnej nieprzychylności losu. Kto chciałby krzyż przemocą złamać i precz wyrzucić, jak w starożytnym Rzymie, jak w ustroju komunistycznym lub w Niemczech hitlerowskich, ten musi liczyć się z klęską wszelkich swoich działań, zarówno osobistych, jak i publicznych.

Pointa wiersza okazuje się, by tak rzec, bardzo ludzka. W jednej linijce, na poziomie jednego wersu zostają postawieni „wierzący niewierzący”. Można te słowa czytać oddzielnie, w porządku logicznym rozłącznie, wówczas oznaczają społeczeństwo podzielone, jak każda ludzka zbiorowość. Można jednak czytać łącznie, w rachunku zbiorów byłaby to koniunkcja, i wówczas otrzymujemy szczególną grę słów: każdy wierzący jest zarazem w jakiejś części swego serca niewierzący, wąpiący, sceptyczny.

I na odwrót, każdy niewierzący okazuje się w jakimś wymiarze swej egzystencji wierzącym, np. wierzy, że dożyje jutra, a nawet przyszłego tygodnia; planuje więc sobie czas, rozkłada jakoś pracę, przygotowuje odpoczynek. Nawet najbardziej ateistyczni politycy opracowywali dla gospodarki plany wieloletnie (trzyletnie, pięcioletnie, nawet sześćioletnie), czyli wierzyli, że system poli-

tyczno-gospodarczy utrzyma się co najmniej przez tyle czasu. Wierzmy, że nie zabraknie nam zdrowia, że wyrosną na wiosnę nowe drzewa, że pszczoły znajdą drogę do kwiatów i na powrót – do pasieki.

Lecz poeta nie tyle dąży do gry słów, co pragnie znaleźć dla ludzi jeden, uniwersalny przymiot. Jedno zasadnicze zadanie, stojące przed każdym. Takim stanem bezwyjątkowym okazuje się ból, rozumiany zapewne fizycznie, ale i psychicznie. Bólu doświadczają wszyscy, żebrak, prezydent i papież, od chwili opuszczenia bezpiecznej, ciepłej macicy aż do ostatniego uderzenia serca, aż do zamarcia oddechu.

Unikamy bólu, wydaje się nam „niezasłużony”, ale – niezależnie od naszych subiektywnych przekonań – ból zawsze „zbliża do prawdy”. Wystarczy przypomnieć z Ewangelii zdanie Jezusa: „Jam jest droga, prawda i żywot” (J 14, 6), by uzmysłwić sobie, że cierpienie stanowić może pozytywną siłę, podprowadzającą nas ku Bogu. Tego naucza chrześcijaństwo od początku, w tym tkwi Chrystusowe, czyli boskie, rozwiązanie najdotkliwszej problematyki człowieka. Wiersz ten można zatem sytuować w dyskretnym kręgu tematyki pasyjnej.

*o spacerze po cmentarzu wojskowym*

Że też wtedy beze mnie  
przewracali się w hełmie  
lecąc twarzą bledziutką na bruk

Jurku z Wojtkiem i Jankiem  
klękam z lampką i wiankiem  
z czarnym kloszem sutanny u nóg

Przeminęło, odeszło w milczeniu  
jak pod kocem na wycieczce ziemia –

świecę lampkę rękoma obiema  
gdzie pod hełmem dawnych oczu nie ma

Z tomu *Wiersze* 1959, cyt. za NPPN, s. 26.

Od strony formalnej wiersz ten okazuje się cokolwiek staroświecki. Rymy znajdujemy dokładne, żeńskie, częstsze w języku polskim („ziemia” – „obiema”), ale też i męskie, rzadsze („bruk” – „nóg”). Rytm mocny, jakby na 3 zestroje akcentowe w wersie, gdyby odczytywać ten utwór w porządku (syllabo)tonicznym. Ale brzmi wtedy niestosownie, trochę jak walczyk, grany przez katarynki, niegdyś znane instrumenty z ulic i placów warszawskich. Może ten rytm i ta śpiewność, zanikająca w poezji współczesnej kunsztowność wersyfikacyjna, cokolwiek nostalgiczna, przypominać ma czytelnikowi powojennemu

beztroską, do szczętu zniszczoną „Warszawkę” Prusa, Or-Ota, Gałczyńskiego i skamandrytów?

Cmentarzy wojskowych nie brak, niestety, na wszystkich ziemiach Polski. W stolicy, z którą ks. Jan Twardowski związany jest od najmłodszych lat, takich miejsc odwiedzić można parę: na Powązkach, na Woli. Dla pokolenia poety najważniejszym – najtragiczniejszym zarazem – przeżyciem wspólnym stał się upadek II Rzeczypospolitej, okupacja niemiecka. Wówczas Twardowski, urodzony w 1915 r., zdecydował się wstąpić do Armii Krajowej. Ze zgrozą i bólem patrzył na zagładę getta warszawskiego, było to wiosną 1943 r. Młodzież polska niecierpliwie czekała na wybuch powstania przeciw Niemcom. Kiedy stało się to 1 sierpnia 1944 r., poeta usiłował walczyć jak każdy rówieśnik, żołnierz konspiracyjnej armii. Prędko jednak został raniony; umieszczony następnie w szpitalu, nie brał udziału w dalszych walkach.

Stąd trafna obserwacja, zapamiętana z pola walki, z potyczek ulicznych: żołnierz ugodzony kulą albo odłamkiem blednie natychmiast, szok dla organizmu jest wielki, twarzą się leci wprost na bruk.

Powstanie upadło po dwu miesiącach heroicznej walki, skazanej z góry na klęskę – przy braku wsparcia ze strony wojsk sowieckich – w starciu ze znacznie lepiej uzbrojonym przeciwnikiem. Stąd w wierszu pierwsze zdania. Ale przecież autor pamięta wszystkich kolegów z drużyny czy plutonu, chłopców zaledwie, z biało-czerwonymi opaskami na rękawie, w zbyt dużych, zdobycznych hełmach niemieckich, za ciężkich na młodzieńczą głowę. Takimi pozostali dla nas na fotografiach najmłodsi bohaterowie Warszawy.

Na cmentarz wojskowy przychodzi więc przyjaciel. Może przy końcu października, na początku listopada, skoro przynosi „lampkę i wianek”. Już nie żołnierz, ale duchowny, „z czarnym kloszem sutanny u nóg”. Dziwny to strój dla mężczyzny, utrudniający ruchy, wywodzący się jeszcze z wieków średnich. Nikt już dziś nie nosi zbroi, ale dawna sutanna pozostała w Kościele jako znak zupełnego oddania się Panu Bogu. O pewnych spódnicach mówi się „kloszowe”; tak kleryk właśnie postrzega swój strój duchowny, a może już i ksiądz?

Dopiero po wojnie, w pewnym spokoju, można sobie było uświadomić straty: ilu wspaniałych ludzi, ile dzieci i młodzieży straciła Warszawa, inne miasta, cała Polska wreszcie. Nad grobem zmarłych rówieśników wspomina się czasem rzeczy nieoczekiwane, np. wspólną wycieczkę szkolną, koc rozłożony na ziemi, czyjś uśmiech, blask oczu, to, że można się było podzielić chlebem i herbatą. Szanować się zaczyna wspomnienia, drobne przedmioty, osoby zmarłe. Każdy grób przecież stanowi prośbę o modlitwę.

Ale już tamtej klasy nie ma. Umarli niektórzy, rozproszyli się prawie wszyscy. W każdym pokoleniu stawiamy sobie ze zdumieniem i żalem to samo pytanie, co Jacek Kaczmarski w znanej piosence: „Co się stało z naszą klasą?”

Wyraźnie obecny jest podmiot liryczny w tym wierszu, jakby w ruchu, gdzie zatrzymaniem staje się rym męski. Kiedy poeta zapala lampkę, mówi nam w skrócie: pamiętam wszystko, wracam do kochanych ludzi, na ich groby, modłę się (czyli dostrzegam żywych w Królestwie Boga).

„Świecenie” lampki nagrobnej zdaje się oznaczać coś więcej niż tylko ból i bezradność – nadzieję chrześcijańską, że Jezus spełni każde życie ludzkie w sobie wiadomy sposób. Powstańcy warszawscy umierali przedwcześnie, lecz wiemy z Pisma św., że najkrótsze nawet życie będzie nasycone Bogiem – czego się nie przeżyło na ziemi, im więcej przeniosło się na sąd Boży ran i luk wewnętrznych z doczesności, tym mocniej ku takiej duszy nachyli się Miłosierdzie, aby została „otarta wszelka łza”.

Hełmy zabitych powstańców warszawskich zawieszano przeważnie na prostym, drewnianym krzyżu. To właśnie z tego znaku – w wierszu nieobecnego, celowo chyba ukrytego – płynie dla żołnierza-poety cicha, religijna otucha. Duchowny przecież głosi ludziom o tym przede wszystkim, że śmierć została pokonana przez Chrystusa, nie jest więc końcem wszystkiego, jak coraz częściej sądzimy, ale początkiem nieprzemijającego życia w Bogu.

## ZWEI GEDICHTE VOM JAN TWARDOWSKI

### Z u s a m m e n f a s s u n g

Im vorliegenden Artikel wurden zwei Gedichte des Priesters Jan Twardowski (geboren 1915 in Warschau) *Jesus der Ungläubigen* und *Vom Spaziergang auf dem Militärfriedhof* analysiert, wobei vor allem die lyrische Situation und der religiöse Sinn beider Gedichte betont wurden.

Im ersten untersuchte man mehrere umgangssprachlich gekennzeichnete Epitheta, die auf Christus bezogen sind und einen unerwarteten theologischen Sinn mit sich bringen („parteilos schutzlos diskutiert”).

Der Dichter bedient sich der in der religiösen Poesie bisher nicht verwendeten Bezeichnungen (z.B. Jesus - „vermieden wie ein alter Pestfriedhof”). Christus – so Twardowski – ist ständig in der weltlich orientierten Gesellschaft präsent, eine verborgene Erlösung wird ständig vollzogen.

Gott erlöst alle dank der dem Menschen offenbaren, grundlegenden Wahrheit des Daseins, das heißt „ein unverdienter Schmerz der einen der Wahrheit nähert”.

Das zweite Gedicht „Vom Spaziergang auf dem Militärfriedhof” stammt aus der Nachkriegszeit und ist von der Biographie des Dichters geprägt. Twardowski nahm am Warschauer Aufstand teil, wurde in den ersten Tagen verletzt, dann verweilte im Lazarett. Im Herbst 1944 stellte er fest, daß fast alle seiner Kollegen aus der Armia Krajowa (AK) ums Leben kamen.



---

Auf den Friedhof kommt er erst als Priester („in schwarzer Soutane knieend“). Der Rhythmus des Gedichts wirkt eher altmodisch, der Sinn ist aber ganz gegenwärtig – es handelt sich hier um die Verehrung eines Verstorbenen, um die Wiedergabe seines Gesichts, das Epitaphium bei brennenden Kerzen. Auf diese Weise wird der Glaube des Priesters an die Auferstehung zum Ausdruck gebracht.